




ROZMOWA

Kryzys wyzwala energię intelektualną

Z profesorem Leszkiem Balcerowiczem, kierownikiem Katedry Międzynarodowych Studiów Porównawczych SGH, rozmawia Andrzej Jacaszek, wydawca HBRP. 

Zarówno wybuch, jak i skala kryzysu były zaskoczeniem dla większości ekonomistów na świecie. Czym można to wyjaśnić? Czy to sprawa nieadekwatnej teorii, braku właściwych narzędzi prognozowania, czy też zadziały inne czynniki?

Natura rzeczywistości społecznej, nie tylko gospodarczej, jest taka, że można formułować mocne, czyli względnie pewne, twierdzenia tylko odnośnie kierunków i tendencji. Natomiast – moim zdaniem – nie jesteśmy i nigdy nie będziemy w stanie formułować mocnych twierdzeń dotyczących wstrząsów i punktów przegięcia, czyli

czegoś, co nazywamy w matematyce zjawiskami nieliniowymi. Uważam, że to nietykalne; w przeciwnym razie byłibyśmy w stanie przewidzieć historię. Zdolność do szczegółowego przewidywania przyszłości byłaby niezwykle groźna. Wiemy jednak, że nikomu nie udaje się robić tego systematycznie.

Niemniej można wskazać ekonomistów, którzy ostrzegali przed nadejściem załamania. Przykładem jest kontrowersyjny amerykański ekonomista Peter Schiff. Oni również nie przewidzieli dokładnego momentu i formy wystąpienia zaburzeń.

Nie ma teorii, która by to umożliwiała. Ja także uczestniczyłem w debatach publicznych i przysłuchiwałem się różnego typu wypowiedziom, dlatego pamiętam osoby, które formułowały ostrzeżenia. Twierdziły, że to, co się dzieje w gospodarce amerykańskiej, czyli bardzo duży deficyt obrotów bieżących i spadek stopy oszczędności prywatnych, jest niebezpieczne. Spory trwały natomiast co do następstw – zakładano zarówno miękkie, jak i twarde lądowanie. Większość przewidywań co do twardego lądowania sprowadzało się do tego, że dolar może się szybko zdeprecjonować, bo przekroczone zostaną bezpieczne progi deficytu obrotów bieżących. Zwracano też uwagę na możliwość zaburzeń w systemie finansowym – mówiła o tym duża grupa ekspertów z Banku Rozrachunków Międzynarodowych (Bank for International Settlements – BIS), która formułowała poważne pytania i tezy. Zwykle tezy miały postać pytań skłaniających do myślenia. Na przykład: Czy szybkie narastanie długu w niektórych dużych krajach i związany z tym wzrost cen aktywów nie wiąże się ze wzrostem ryzyka załamania? Ekspersi BIS krytykowali także zbyt łagodną politykę monetarną FED. Zwłaszcza obniżenie stóp procentowych w 2003 roku do poziomu 1% i tylko stopniowe ich zwiększanie.

Moim zdaniem te pytania i tezy były słuszne – sam byłem podobnego zdania i w dyskusjach dawałem temu wyraz. Mówiąc krótko, da się wskazać pewne niepokojące zjawiska i na tej podstawie przeciwdziałać zagrożeniom, ale nie da się w sposób systematyczny przepowiadać, kiedy nastąpią punkty przegięcia. Zauważmy, że nawet w gospodarce dojrzałej, z taką liczbą dobrych ekonomistów jak Stany Zjednoczone, zwykle nie trafia się z prognozami odnośnie przebiegu cyklu koniunkturalnego. Nie dezawuuje ekonomii, podkreślam natomiast naturę rzeczywistości społecznej.

Czyli nie da się zbudować modelu – ani makroekonomicznego, ani mikroekonomicznego – który uwzględniając niepewności, dałby nam możliwość przewidywania przyszłości?

Można zbudować modele, które będą sygnalizowały rosnące niebezpieczeństwa.

One już istnieją. Nie muszą być całkiem sformalizowane, czasem mogą być bardzo proste – ale muszą bazować na odpowiednich danych. Uważam, że wskaźnikiem, który zawsze warto śledzić, jest stopa wzrostu poziomu zadłużenia. Jadąc samochodem, wiemy, że są pewne granice bezpiecznej szybkości. Zwykle w różnych procesach także istnieją poziomy bezpieczeństwa, takie pułapy szybkości, po których przekroczeniu następuje coś niedobrego. Tak jest przy zwiększaniu wielkości kredytu, przy czym nie da się precyzyjnie określić punktu, po przekroczeniu którego coś złego się stanie. Można natomiast wyznaczyć przedział i wykazać, że po wkroczeniu do niego narasta ryzyko zaburzeń.

Ponadto jeżeli długo trwa szybkie narastanie kredytu, to relacje długu do majątku – czy to przedsiębiorstwa, czy to konsumenta – stają się wysokie i w rezultacie wstrząs jest dotkliwy. Dlatego Polska jest mniej podatna na skutki zewnętrznego kryzysu, bo u nas te relacje są dużo niższe niż w wielu rozwiniętych państwach. Nie mamy jeszcze – w tym wypadku na szczęście – tak dojrzałego kapitalizmu, który objawia się wysokimi wskaźnikami finansowymi, zwłaszcza wysokim poziomem zadłużenia przedsiębiorstw i konsumentów.

Ostrzega pan przed niebezpiecznymi konsekwencjami narastania długu, tymczasem Wielka Brytania czy Stany Zjednoczone walczą z kryzysem, hojnie finansując gospodarkę pieniędzmi podatników. To oznacza zaś wzrost zadłużenia publicznego. Jakie to może mieć krótko- i długookresowe skutki?

Mówimy o dwóch rzeczach. Po pierwsze, o działalności rządów, po drugie, o działalności banków centralnych. Warto to rozłączać. Jeśli chodzi o działania rządów, to kwestią dyskusyjną jest tempo ekspansji fiskalnej ponad to, co nazywamy automatycznymi stabilizatorami. W czasach kryzysu wydatki socjalne państw rosną, a wpływy podatkowe spadają i automatycznie włączają się stabilizatory. Generalnie sądzi się, że jeśli tylko można je sfinansować, to należy pozwolić im działać. Dyskusja dotyczy tzw. dyskrejonálního pobudzenia fiskalnego, czyli zwiększania

deficytu ponad ten, który wynika z automatycznych stabilizatorów. Należę do tej grupy ekonomistów, która sądzi, że obecna ekipa amerykańska poszła za daleko i przeszacowuje krótkookresowe korzyści pobudzenia fiskalnego, natomiast za mało uwzględnia koszty długookresowe. Ostatnio ukazała się znacząca książka jednego z najbardziej szanowanych ekonomistów na świecie – Johna Taylora, autora słynnej Reguły Taylora^a w polityce monetarnej. Jego zdaniem zakładane przez amerykański rząd korzyści krótkookresowe są sześć razy przeszacowane. Równocześnie koszty obecnej polityki będą ogromne. Oczywiście nasuwa się bardzo ważne pytanie: Jak Stany Zjednoczone będą wychodziły z tego mocno powiększonego długu publicznego? Czy przez podwyższanie podatków (co spowoduje osłabianie dynamiki wzrostu państwa), czy przez ograniczanie wydatków? Wówczas jednak powstaje pytanie, które wydatki miałyby być przycięte. Jeżeli socjalne – to dla rozwoju dobrze. Jeśli zbrojeniowe – to dla świata gorzej, bo świat potrzebuje dobrego, silnego hegemonu. Tak więc dzisiejsze sposoby walki z kryzysem w Stanach Zjednoczonych mają duże znaczenie i podzielam wątpliwości niektórych ekonomistów, którzy sądzą, że rządzący przesadzili z pobudzaniem fiskalnym.

Równie ważne jest to, co robią banki centralne – zwłaszcza FED – czyli ogromne zwiększanie rezerw finansowych. W sytuacji, w której istnieje niechęć konsumentów i firm do wydatków i obawa przed ryzykiem, ten pieniądź nie przeradza się w pieniądź inflacyjny. Ale co będzie później, tego dokładnie nie wiemy. Nie twierdzę, że grozi nam nieuchronnie wzrost inflacji; uważam natomiast, że ważną sprawą jest wycofanie tego pieniądza we właściwym momencie,

a. Reguła Taylora brzmi: „Stopa funduszy federalnych jest podnoszona lub obniżana stosownie do tego, co dzieje się z realnym produktem krajowym brutto i inflacją. Jeśli realny PKB wzrasta o 1% ponad PKB potencjalny (PKB potencjalny należy rozumieć jako wieloletnią średnią poziomu realnego PKB), to stopa funduszy federalnych powinna zostać podniesiona – przy uwzględnieniu bieżącej stopy inflacji – o 0,5%. Jeśli inflacja wzrasta o 1% ponad cel wynoszący 2%, to stopa funduszy federalnych powinna zostać podniesiona o 0,5%. Jeśli realny PKB jest równy PKB potencjalnemu, a inflacja jest równa celowi wynoszącemu 2%, to stopa funduszy federalnych powinna pozostawać zbliżona do 4%, co implikuje średnią realną stopę procentową w wysokości 2%”.



w takiej skali, żeby nie stał się on pieniądzem inflacyjnym.

Kolejnym zagadnieniem jest interwencja państwa w sektorze finansowym. Tu także istnieje pole do debaty: Czy w odpowiednim momencie interweniowano? Czy interweniowano we właściwych miejscach? Czy skala interwencji nie jest zbyt duża? Czy działania nie są zbyt chaotyczne? Czy niektóre formy interwencji nie wnoszą więcej niepewności niż stabilizacji? Taylor także stawia te pytania.

Jestem przeciwny popularnej tezie, że w warunkach kryzysu każde działanie jest dobre, bo bez tego może być już tylko gorzej. Niektórzy używają takiej metafory: „Gdy wybucha pożar, nie warto patrzeć, ile gasząc, zużyliśmy wody”. To jednak fałszywa analogia. Świat rozwinięty wkrótce stanie bowiem przed wielkim pytaniem: Jak będziemy wychodzić nie tylko z kryzysu, ale i z dziedzictwa polityki antykryzysowej? Moim zdaniem istotniejsze od pytania: Kiedy nastąpi dno?, jest pytanie: Jak szybko będzie następować odbicie od dna? Polityka, która pilnowała tego, by dno nie było zbyt nisko, może jednocześnie powodować, że odbicie się będzie wolniejsze, niż gdyby było mniej różnych interwencji. Myślenie w krótkim horyzoncie może się zemścić. Zarówno w państwie, jak i w firmie. Zawsze trzeba bowiem patrzeć w nieco bardziej odległą przyszłość.

Niemal codziennie media donoszą, że rząd amerykański będzie ratował

jakąś dużą firmę – Ford Motor Company, General Motors lub AIG. Czy w takiej sytuacji można jeszcze mówić o wolnej konkurencji. Jak na rynku może działać na przykład Toyota Motor Company, kiedy rząd wpompowuje tak ogromne kwoty w amerykańskie firmy? Do jakiego stopnia może się posunąć w interwencji, żeby ratować przedsiębiorstwa?

Przed takimi zjawiskami ostrzegam, mówiąc, że nie należy zakładać, że każda polityka zwana antykryzysową jest faktycznie usprawiedliwiona. Prowadziło to bowiem w przeszłości do niebezpiecznych skutków. Lekarstwo czasem okazywało się dużo gorsze od choroby. Bardzo chciałbym się jednak w tym wypadku mylić.

W każdym współczesnym kraju mamy pewne połączenie prawa, państwa, rynku i społeczeństwa obywatelskiego. Samo to twierdzenie jest banalne – istota tkwi jednak we właściwych proporcjach. Nawet gospodarka, którą określamy jako wolną, działa w ramach prawa. Sądzę, że jakieś minimum państwa jest potrzebne. Cała rzecz polega na tym, że w każdym społeczeństwie, również amerykańskim, są potężne siły, które rozdymają państwo powyżej tego dobrego minimum. Na czym polega owo rozdęcie? Po pierwsze, na regulacjach. Każda regulacja, czyli ograniczenie wolności, jest uzasadniana szlachetnym celem, na przykład zwiększeniem bezpieczeństwa. Nie zawsze jednak tak działa, a nawet jeżeli

tak, to ma uboczne skutki. Trzeba zatem wiedzieć, gdzie jest punkt, powyżej którego nie opłaca się już zaostrzać regulacji – również na rynkach finansowych. Po drugie, rozdęcie państwa oznacza zwiększanie wydatków, zwłaszcza socjalnych. Ameryka też jest tym dotknięta, chociaż jak na razie mniej niż Europa Zachodnia.

Jeżeli zostanie zrealizowany program Baracka Obamy, dotyczący wprowadzenia powszechnego ubezpieczenia zdrowotnego, to Stany Zjednoczone podążą w tym samym kierunku, co Europa...

W każdym wolnym społeczeństwie są siły, które z takich czy innych powodów zmierzają do ograniczenia wolności i zwiększenia roli państwa. W polityce, tak jak w każdym innym zawodzie, pojawiają się ludzie, którzy chcą mieć więcej władzy – tzn. więcej zabierać, rozdzielać i więcej regulować. Demokratycznemu kapitalizmowi zagrażają prądy etatystyczne, które jeśli triumfują, to go wypaczają, czynią go mniej sprężystym i najczęściej też mniej sprawiedliwym. W państwach socjalistycznych wiele publicznych pieniędzy trafia do osób, które tego nie potrzebują. Ponadto im więcej rozdziela się darmowych funduszy, tym więcej jest na nie chętnych. Nie jest chyba ideałem społeczeństwo, które składa się w dużej mierze z klientów pomocy socjalnej?

Istnieje realne ryzyko, że obecny kryzys może być źle zinterpretowany i w efekcie

doprowadzi do niebezpiecznego zwiększenia roli państwa.

Krytycznie ocenia pan politykę antykryzysową obecnej administracji amerykańskiej. Czy dostrzega pan przykłady rządów, które działają lepiej – mądrzej i odpowiedzialniej?

Reakcje rządów zależą w dużej mierze od pola manewru. Włosi na przykład nie naśladowują Stanów Zjednoczonych, jeżeli chodzi o pobudzenie fiskalne. Z jednego powodu, który jest wystarczający. Włochy mają 100% długu w relacji do PKB. Do mnie przemawiają argumenty wysuwane przez

ludności i potencjału gospodarczego niż na przykład Litwa, Estonia czy Łotwa. Myślę jednak, że wszystkie kraje Europy Środkowo-Wschodniej przy rozsądnej polityce gospodarczej będą się rozwijały co najmniej dwa razy szybciej niż piętnastka „starych” krajów Unii Europejskiej. Państwa te po prostu będą kontynuowały proces doganiania bogatszego Zachodu. Mając niższy punkt startu, możemy bowiem twórczo korzystać ze wzorców technologicznych i instytucjonalnych. Możemy przyspieszyć doganianie Zachodu, jeśli wdrożymy kilka reform: ukończymy prywatyzację, reformujemy system socjalny i dzięki temu

reżym i kazać mu walczyć. Jednocześnie mówi się, że to jest społecznie usprawiedliwione. To absurd.

Prywatyzacja oznacza szansę ostania się przedsiębiorstwa na rynku dzięki wzrostowi efektywności i inwestycji. Równocześnie im więcej przychodów z prywatyzacji, tym mniej zaciągania publicznych długów. Andrzej Rzońca z Forum Obywatelskiego Rozwoju obliczył, ile nas kosztowało zaniechanie prywatyzacji w latach 2005–2007 przez ówczesnego ministra Wojciecha Jasińskiego. Minimalny szacunek to 5 miliardów złotych. Policzone tu tylko niektóre utracone korzyści, które zaistniałyby, gdyby wykonano sam tylko plan prywatyzacji, zresztą mało napięty. Mam nadzieję, że za kolejnego rządu nie będziemy już musieli obliczać, ile kosztowało Polskę zaniechanie prywatyzacji. Ostatnio nawet NIK, który do tej pory był w pierwszym szeregu potępiających prywatyzację, „obudził się” i wystąpił w sprawie zaniechań w tym procesie. Lepiej późno niż wcale.

Istnieje realne ryzyko, że obecny kryzys może być źle zinterpretowany i w efekcie doprowadzi do niebezpiecznego zwiększenia roli państwa.

niektórych polityków niemieckich, którzy mówią o niebezpieczeństwach krótkookresowego pobudzania. Sądzę, że to rozsądne podejście.

Jeśli chodzi o Stany Zjednoczone, to jest tam wiele dobrych rzeczy, które warto naśladować: wolna przedsiębiorczość, elastyczny rynek pracy, sądownictwo, system uniwersytetów i więzi między nimi a gospodarką. Natomiast tamtejsza polityka makroekonomiczna nie powinna być wzorem. Naśladowajmy więc Amerykanów w tym, w czym są mocni, a nie w tym, co raczej utyka.

Jak w kontekście skutków światowej recesji ocenia pan konkurencyjność polskiej gospodarki? Mam na myśli długofalową zdolność kraju do utrzymywania wysokiego tempa rozwoju.

Jaki kraj jest długofalowo atrakcyjny? Taki, który rozwija się szybciej niż inne. To jest oczywiście atrakcyjne dla niego, ale także czyni go atrakcyjnym dla innych, szczególnie jeśli jest relatywnie dużym państwem. Tak się składa, choć nie jest to żadna nasza zasługa, że Polska ma dużo więcej

zwiększymy zatrudnienie oraz uzdrowimy finanse publiczne, zapewnimy większą efektywność wymiarowi sprawiedliwości, podwyższymy jakość oświaty itp. To jest dziś główne źródło rozwoju, z którego państwa izolowane nie korzystają. Na szczęście mamy wolną gospodarkę, którą tworzą setki tysięcy odkrywców zwanych przedsiębiorcami.

Wciąż jednak nie brakuje w Polsce firm państwowych, które nie kierują się w swoich działaniach tylko czystym rachunkiem ekonomicznym.

W przypadku firmy własność państwowa to własność polityczna i zwykle nie pozwala przedsiębiorstwu rozwinąć skrzydeł, czyli dobrze pracować. Im bardziej odkłada się odpolitycznienie, tym gorzej dla firmy. Mielśmy w Polsce wiele przedsiębiorstw, które już nie istnieją, bo były państwowe. Ostatni przykład to stocznie. Jeżeli tylko działa konkurencja, to upadek firmy publicznej jest kwestią czasu. Mieć konkurencyjny rynek i jednocześnie utrzymywać firmy państwowe to jak wypuścić na ring boksera ze związaną na plecach

Mamy kryzys...

My odczuwamy skutki zewnętrznego kryzysu. Jesteśmy niedużym statkiem, a morze jest wzburzone. To zatem naturalne, że nami silnie chybocze.

...który stwarza dla polskich firm zagrożenia, ale też kreuje szanse. W czym dostrzega pan dziś największe możliwości dla polskich przedsiębiorców i menedżerów?

Wiemy, że kryzys sprawdza ludzi – niektórych mobilizuje do wysiłku, przede wszystkim umysłowego. Im więcej będzie w Polsce osób, w których obecna sytuacja wyzwoli dodatkową energię intelektualną i duchową, takich, którzy będą wiedzieli, jak przejść suchą stopą przez trudniejsze czasy i jednocześnie zwiększać swoją zdolność konkurencyjną, tym lepiej. Mam nadzieję, że takich przedsiębiorców będzie wielu. ▢

Leszek Balcerowicz jest doktorem habilitowanym nauk ekonomicznych, był prezesem NBP. Pełnił funkcję wicepremiera i ministra finansów w trzech rządach, zasiadał w Sejmie, był przewodniczącym Unii Wolności.

Artykuł numer TO907A